

TRĘCĆ

MARIAN DESLOGES — O POLSKI SŁOWNIK LITERACKI
 WŁADYSŁAW SEBYLA — ŻNÓW LETNIA NOC...
 TADEUSZ PEIPER — BAROJA, WOJNA I t.p.
 KAROL IRZYKOWSKI — PRZEKLEŃSTWO DOBREGO CZYNU

KRYSTYNA KULICZKOWSKA

„RAJSKA JABŁOŃ”

Jednym z najpopularniejszych sądów, krążących wśród czytającej publiczności w okresie zainteresowania współcześnie niemal wydanymi *Dziewczętami z Nowolipiek* i *Granicą*, było przeciwstawienie „chwytającej za serce” uczuciowości pierwszej powieści przykreemu chładowi drugiej.

Na marginesie tych niewiele mówiących impresji warto jednak przypomnieć trudności leżące u podstaw wartościowania utworów o dużym ładunku emocjonalnym, działającym sugestywnie a niewspółmiernie z artyzmem. Wysoki poziom literacki *Granicy* oraz raczej pozaartystyczne zalety *Dziewcząt z Nowolipiek* są tej niewspółmierności dowodem. Lecz któż z nas oprze się urokowi niedawnej przeszłości owianej mgłą zadumy i sentymentu, do kogo nie przemówią smutne losy istot rwących się ku życiu? *Dziewczęta z Nowolipiek* zniewalają czytelników, jest jednak rzeczą problematyczną, czy istota tego wpływu nie leży poza granicami sztuki. Jeśli przedstawiało się to dość zagadkowo w dwóch pierwszych tomach, wydanie *Rajskiej Jabłoni* ułatwia rozstrzygnięcie dylematu. Przedłużenie tej samej problematyki, tych samych chwytów technicznych i stylu ujawnia na skutek osłabienia wysiłku twórczego widoczne pęknięcia i skazy.

Dużo w swoim czasie pisano o zagadnieniach społecznych w *Dziewczętach z Nowolipiek*, lecz chyba tylko jednostronna analiza mogła rozstrzygnąć różne możliwości interpretacyjne na korzyść zdecydowanej ideologii. Niewątpliwie, warunki społeczne są w pewnej mierze odpowiedzialne za nie radość duchową dziewcząt i ich tęsknotę do lepszego świata; z nich wypływa fatalizm, który każe bohaterkom z kręgu Nowolipiek całe życie „spłacać dług” i nie zaznać szczęścia. Czyż jednak te ciężkie warunki bytowania mogą również usprawiedliwić nie samodzielność dziewcząt, ich bezradność wobec życia i lunatyczną bierność, z jaką poddają się pierwszej spotkanej miłości? Pełnia ideologii społecznej wymagałaby przeciwstawienia „wyższemu światu” jednostek silnych i twórczych; w przeciwnym razie odpowiedzialność w równej mierze spada na zgubną siłę miłości, której narzędziem staje się każdy, zarówno bezwartościowy jak szlachetny mężczyzna. Te dwie potęgi — miłość i głód — fizyczny i moralny, bratają wszystkich we wspólnym tragizmie istnienia. Pesymistyczna nuta utworu płynie stąd, że autorka nie przeciwstawia tym siłom nie próż zdrowego rozsądku. Mimo niejednoznaczności ideologii apoteozą śmierci Frani, ucieczki Cechny oraz zgaby Bronki wobec utrwalenia się praktycznej Kwiryny i Amelki na pewnych pozy-

cjach życiowych posiada wymowę, do której nie już zdawało by się dorzucić nie można. Tymczasem autorka podejmuje opowiadanie o losach swych bohaterów mniej więcej po latach osmiu od chwili, gdyśmy z nimi rozstali, i ten dalszy ciąg przetasowuje zupełnie porządek zaznaczony w zakończeniu poprzednich tomów.

Następny etap życiowy unieszczenieliwa przede wszystkim te, które stały na szczycie ironicznej hierarchii — Amelkę i Kwirynę, obciążając je piętnem czy to rzeczywiście i ujawnionej zbrodni, czy też tylko skryciej dręczącej sumienia winy. Już jednak z klęsk Kwiryny, a nade wszystkim z życia Cechny, śmiało wyrwyjając się ku samodzielnemu istnieniu, wynikają pewne wartości. Pierwsza po śmierci męża idzie, choć z pewnym wewnętrznym oporem, drogą jego przyjaciół ku ludziom, druga natomiast, rezygnując z własnego pragnienia „podpory i utwierdzenia”, całkowicie oddaje się córce. W chwili gdy Bronka — sumienie społeczne utworu i symbol niszczącej miłości — ginie pod kołami wozu, Cechna cieszy się, że wraca do małej Zuzanny, której dziwna, pełna ukrutego demonizmu i energii natura zwiastuje może w następnym pokoleniu jakąś pozytywną siłę.

Czy jednak powyższa interpretacja da się pogodzić z zaznaczoną na innym miejscu tęsknotą Zuzanny do spokojnego życia bez wrażeń (a więc takiego, jakie było udziałem dziewcząt z Nowolipiek) i wielokrotnie powtarzaną myślą, że „zawsze się wraca tam, skąd się wyszło”?

Widzimy więc, że w *Dziewczętach z Nowolipiek* i w *Rajskiej Jabłoni* linie problematyki życiowej płaczą się i dopuszczają możliwości różnych interpretacji. Autorka nie umiała obrąć jedynie — choć niewątpliwie trudnej drogi pomiędzy pączką artyzmu tendencją a niezbędną na każdej powieści moralną odpowiedzialnością za poruszane zagadnienia.

Te same zastrzeżenia dotyczą stylu i budowy utworu. Już w *Dziewczętach* można było wyróżnić reminiscencje historyczne uzasadnionych stylów: począwszy od neoromantyzmu, przejawiającego się w noweliistycznej budowie powieści, nadmiarze liryzmu i symbolice — poprzez ekspresjonistyczny i symboliczny — do neorealizmu i wspomnianego tonu, charakterystycznego dla literatury powojennej. Ta niejednorodność stylu w połączeniu ze spleśnieniem motywów i wątków, potracanych tylko za pomocą nastrojów i niedomówień, nie mogła stworzyć harmonijnej całości. W *Rajskiej Jabłoni* przeniesienie akcji z małego odcinka miasta na bardziej rozproszone tereny spowodowało jej decentralizację. Tutaj wątki rozłamane są na autonomiczne, przypadkowo tylko stykające się całości. Każdy z tych wątków opłata się wokół postaci jednej z bohaterów i, co najnamniejniejsze,

każdy niemal posiada odrębny styl i poziom artystyczny.

Tak więc postać Kwiryny odmalowana jest najlepszymi środkami techniki realistycznej. Zmaganie się w tej żywiołowej naturze nowego anarchicznego życia uczuć z wpojona w krew tradycja „stulibów” ujęła autorka śmiały i rzutami w kształt zwiezły i wyraziści. Papierowy i anielski Roman, doskonale do dla bujnej indywidualności Kwiryny, staje się po śmierci dobrym duchem, prostującym ścieżki jej życia — w sposób już mniej artystycznie przekonujący. Realistyczne szczegóły, rozrzucone obficie w opisie środowiska małżonków, są dobrze zestrojonym elementem całości. Na przykładzie Kwiryny widać przewyciężenie liryzmu; autorka, podobnie jak w stosunku do Agnieszki z *Ziemi Elżbiety*, umiała zobiektywizować materiał chaotycznych wrażeń i wstrząsów, by osiągnąć dopiero odpowiedni od nich dystans, wziąć pełną odpowiedzialność za stworzoną postać.

Wraz z przejściem do osoby Bronki, wchodzimy w zupełnie odrębny świat. Tę subtelna, sponiewierana przez życie i własną słabość istotę autorka obdarzyła największym współczuciem i sympatią; jej oczami patrzy na przyrodę, jej jednej daje prawo sądu nad fałszywą filantropią „wyższego świata”, ona płacze nad upadkiem moralnym uległego temu światu Ignacego. W odniesieniu do tej postaci, owianej urokiem poezji i liryzmu, najwyraźniej można zaobserwować nawrót do neoromantyzmu i ekspresjonizmu, najmniej sprzyjających zobiektywizowaniu uczuć.

Wokół Bronki autorka roztoczyła najobficiej aurę wspomnieniową, charakterystyczną dla wszystkich czterech tomów, tutaj jednak najłatwiej wykryć, że jest to za wadny sposób artystycznego kształtowania rzeczywistości. Bronka żyje przeszłością i wspomina Nowolipki; stykamy się więc z zasnutymi mgłą oddalenia sytuacjami, które znamy już z tomów poprzednich.

Dla zdania sobie sprawy, że wspomnienie może być materiałem artystycznego tworzenia, warto przytoczyć słowa Marii Dąbrowskiej z przedmowy do *Ludzi stamtąd*: „Wspomnienie jest jednym ze stanów duchowych, które pozwalają widzieć życie od estetycznej strony, są wyzwoleniem z postawy utilitarnej ku bezinteresownej i kontemplacyjnej. Minione zdarzenia życia są wdzięczną kanwą dla twórczości artystycznej — szczególnie to epickim ujęciu rzeczywistości”.

Na przykładzie cyklu Gojawiczyńskiej można stwierdzić, że wspomnienie na usługach liryzmu nie jest wdzięcznym literackim tworzywem, gdyż etaje się łatwo wzywanym nieskoordynowanym uczuciu. Dlatego też z przeżyć Bronki, mimo wielu momentów subtelnych i wzruszających, wieje monotonia i bladeść. Pod wielomó-

wiąnymi niedomówieniami otwiera się zamiast tragicznej głębi — pustka. Sympatia dla bohaterki słabnie w braku moralnego i artystycznego pokrycia i o jej śmierci czytamy tak, jakby to była wzmianka w kronice wypadków.

Wątek, dotyczący Amelki, jest malowalny i banalny. Amelka chce być „prawdziwą”, lecz ta autokrytyka (zrównoważona zresztą na innym miejscu jej poczuciem wyższości w stosunku do t. zw. porządných ludzi) nie wystarcza, by wzbudzić zainteresowanie dla jej zwierzeń, niepotrzebnie, nieproduktywnych szczerych, i dla przeżyć, nie odbiegających poziomem od tęsknot i lez modnej piosenki, jednej z tych, o których Bronka mówi: „To w sam raz dla nas, jak gdyby ktoś specjalnie napisał”. W stosunku do Amelki da się najlepiej zauważyć, dlaczego technika zastosowana w *Dziewczętach z Nowolipiek* nie mogła w *Rajskiej Jabłoni* wystarczyć. Oto bohaterki dojrzały, a przeżycia ich w znacznej mierze zatrzymały się na poziomie dziewczęcych marzeń, gdy atrakcyjność takich słów, jak „nieznane”, „listy z pieczęciami miłości”, tłumaczyła się młodocianym wiekiem.

Chwiejność i wieloznaczność pionu ideowego *Rajskiej Jabłoni*, niejednorodność stylu, rozlewność lirycznego wyrazu oraz chaotyczność budowy — wszystko to są różne aspekty tego samego zjawiska: osłabienia wysiłku twórczego. Czy nie świadczy pośrednio o osłabieniu twórczym te słowa Bronki, w których autorka jak gdyby zrzuca odpowiedzialność za spłot nierozwikłanych spletań przypadku na fatalizm: „Czy nie uważacie, że wszystko to musiało się stać. Mus życia, konieczność przeżycia, jak w raju, pod drzewem wiadomości dobrego i złego”?

Dla zrównoważenia tych braków, wypływających w znacznej mierze z widocznej niechęci (provizor Jan Cichoński został na poprzedniej stronie nazwany Wiktozem), należy wymienić momenty, w których nierówno falujący artyzm wznosił się do wysokiego poziomu. Da się to zaobserwować na postaci Kwiryny, starannie opracowanej Zuzanny oraz w szeregu scen; uderza np. opis Kwiryny i Bronki, poszukujących w zamęcie przewrotu majowego swych chłanków, oraz wyczelowana psychologicznie, z lekkim akcentem ironii, rozmowa Magdaleny z Ignacym przed przewidywanym rozstaniem.

W końcu należy raz jeszcze przypomnieć, że cykl Gojawiczyńskiej zbyt wiele ma uroku i szerszego sentymentu, byśmy przez cały czas pamiętali o jego brakach artystycznych. Czytelnik doświadcza w trakcie lektury wielu miłych wstrząsów — choć z kategorii nie najistotniejszych dla kontemplacji dzieła literackiego.

KRYSTYNA KULICZKOWSKA

¹ POLA GOJAWICZYŃSKA: *Rajska Jabłoni*
 2 tomy. Nakładem „Roju”.

MARIAN DESLOGES

O POLSKI SŁOWNIK LITERACKI

I

Trwająca obecnie „wojna na Parnasiu” — dyskusja na temat podstaw, metod i charakteru nauki o literaturze, historii i krytyki literackiej, świadcząca o głębokim kryzysie, jakie przechodzą obecnie wszelkie badania literackie, posiada niewątpliwie znaczenie bardzo doniosłe i dodatnie. Przyczynia się do odświeżenia nieco zatechłej i tracącej myśką atmosferę, do odpowiedniego sklasyfikowania wszelkich pseudonaukowych, nawet pseudoliterackich popisów; przynosi nie tylko możliwość naukowego sprecyzowania przedmiotu badań i ustalenia należytej hierarchii motywów, wyluskania obcych, nie naukowych nalatów, ale odrzuca też na marginesie uświadomienia i postulaty o dużej wadze, mimo ich niewątpliwie poboczności.

Takim dużej wagi postulatem jest sprawa ustalenia terminologii nauki o literaturze, podniesiona przez prof. Kridla w jego tak głośnej obecnie książce (*Wstęp do badań nad dziełem literackim*, str. 195/6).

Stwierdza on słusznie, że jednym z najbardziej kardynalnych braków i niedomagań nauki o literaturze jest płynność, wieloznaczność i zmienność terminologii. „Terminy te bowiem używane są często w bardzo różnych znaczeniach, czasami wprost w sposób zupełnie prymitywny, daleko pozostający w tyle poza tym, do czego doszła już współczesna wiedza o literaturze” — pisze prof. Kridl. Wieloznaczność ta występuje zarówno w zakresie określeń historycznych, jak i szczególnie morfologicznych, a nawet teoretycznych badań literackich. Kridl cytuje przede wszystkim przykładowo terminy morfologiczne (z zakresu poetyki), jak „obraz, opis, motyw, akcja (a szczególnie jej różne elementy — przyp. autora), kompozycja, nawet styl, metr i rytm itp.” Do tych nazw można przydać serię określeń z zakresu typologii literatury, wymienić tu można nazwy wszelkich rodzajów literackich, które zarówno w odniesieniu do rodzajów ogólnych, jak liryka, dramat, epika, jak i do odmian szczegółowych stosowane są nieściśle, zamiennie. Często dla tych samych zjawisk używa się różnych terminów. Interesujące zestawienie przedstawia Trocziński (*Rozprawa o krytyce literackiej*), który wykazuje, że tak zwolowi badacze, jak Lempicki, Z. Kucharski i Adamczewski, dla tych samych przedmiotów używają różnych określeń (statyka — tworzywo, dynamika — ujęcie, technika — przedstawienie). Nie trudno było by zebrnąć szeregi podobnych przykładów. Fakt ten nie podlega dyskusji, chodź raczej o ocenę jego wagi, znaczenia i ewentualnych środków wiodących do jego usunięcia.

II

Jakie są postulaty nauki w zakresie ustalenia terminologii badań literackich? Czy swoboda, czy też bezwzględna jednoznaczność jest pożądana i korzystna dla rozwoju nauki? Odpowiedzi na takie pytania bywają bardzo różne, wahają się od skrajnego liberalizmu do filologicznej ścisłości. Liberalizm zezwala badaczowi na dostosowywanie znaczeń do zmieniających intencji różnych prac, w konsekwencji zaś do wiecznej fluktuacji terminologii, do jakiegoś *spiritus flat ubi vult*, którym popisują się pięknoduchy, ale który podcina wszelką ciągłość terminologiczną w nauce. Słuszność — jak zwykle — leży w środku, należy więc zgodzić się z potępieniem istniejącego stanu rzeczy, a sprawę samą bliżej rozpatrzyć.

Swoboda w stosowaniu terminów płynie nie tylko z programowej postawy, ale — jak najczęściej u nas — z braku ścisłości i metodyczności, będącego wynikiem panujących nastawień i niedomagań odpowiedniego przygotowania. Obie odmiany prowadzą w końcu do absurdu, bo jakżeż można myśleć o jakiegokolwiek ciągłości i rozwoju nauki, jeśli czytelnik przy każdym dziele musi na nowo znaczenia ustalać i przystosowywać do zmienionych założeń. Dobrze by jeszcze było, gdyby autorowie starali się znaczenia przez siebie wprowadzone precyzować i konfrontować z innymi (spodziewać by się tego należało u konsekwentnych liberalistów), jest to jednak próżne pragnienie przy organicznym braku ścisłości i notorycznym niedoświadczaniu jej potrzeby. Stan taki prowadzi ostatecznie do zupełnego chaosu, a zarazem podcina możliwość ewolucji nauki. Musi ona bowiem zaczynać zawsze od nowa.

Z drugiej jednak strony nikt rozsądny nie może twierdzić, że w nauce pojęcia i terminy muszą być zawsze jednoznaczne. I w nauce o literaturze mogą się one zmieniać,

powinny podlegać ewolucji, ale właśnie ewolucji, a nie jakimś dowolnym i nieumotywowanym przeskokom. Bo ewolucja jest do pomysłenia tylko w takim przypadku, jeśli płynie z pewnych konieczności, jeśli zmienia się umotywowana i jeśli odbywa się w oparciu o ustalone podstawy. Wszelka ewolucja musi się bowiem do nich odwoływać, przeprowadzać konfrontacje ze stanem odrzuconym i wyznaczyć konieczność zmiany. Dlatego też można z pełnym uprawnieniem wymagać i od każdego badacza literatury obowiązkowych konfrontacji własnych terminów ze znaczeniem powszechnym.

III

Postulat słuszny i zapewne każdy pragnąłby się do niego zastosować, lecz w tym momencie wyłania się nowa trudność — jak należy w obecnym stanie rzeczy rozumieć

terminologii nie można uzależniać od dalekich jeszcze ustaleń opartych o specjalne prace, jak tego pragnie Kridl, a szczególnie: należy szukać środków poprawy działających szybko i dających efekty realnie osiągnąć. Musi to być środek łatwy, szybki i dostępny. Tym może być tylko encyklopedyczny słownik terminów, zastosowany do sytuacji i możliwości.

IV

Realizacja takiego pomysłu posiadałaby wagę niezmierzoną doniosłą, lecz zależną w zupełności od przeprowadzenia jej w szczegółach. Wartość takiego słownika nie podlega chyba dyskusji, a dająca się powszechnie wyczuć jego potrzeba winna przełamać (oby!) nawet specyficzne polskie trudności wydawnicze, a może, uznając potrzebę takiego przedsięwzięcia, i towarzyszącego naukowego pomysłu o jego realizacji? Stawiając zaś

V

Z aktualnych potrzeb płynąby też następny postulat: wyłączenia z takiego słownika strony historyczno-literackiej. Słownik ten miałby zarządzać przede wszystkim istniejącym nieporozumieniem i chaosowi metodologicznemu, ułatwić możliwość porozumienia się co do chwytów metodologicznych, wpłynąć na podwyższenie poziomu ścisłości i metodyczności prac literackich, więc musi być właściwie przewodnikiem metodycznym. Nie może mieć charakteru encyklopedii historycznej, gdyż rozszerzenie przedsięwzięcia tego w tym kierunku zwiększyłoby objętość dzieła, zatarło konieczną jednolitość, podniosło koszt, a wreszcie podrażniając książkę utrudniłoby jej rozpowszechnienie. Nie należy tu mieszać oczywiście historyczności w sensie przedstawienia szkicu ewolucji pojęcia z historią występowania jego przedmiotu w konkretnych dziełach literackich. Jedyną koncesją na rzecz historii literatury mogłyby być przeglądy różnych teorii kierunków literackich, takich jak humanizm, romantyzm, barok i t. p. Natomiast w charakterystyce rodzajów literackich historycznym winien być podporządkowany ujęciu systematycznemu, odmiany historyczne potraktowane morfologicznie i typologicznie a nie ewolucyjnie.

VI

Jednakowoż jakiegokolwiek by były programy, nie program tu decyduje, tylko rzecz sama. W wykonaniu można zastosować pracę zbiorową, może znalazłby się i powołany autor, który pracę taką z pozytywem by wykonał, lecz zawsze tkwi w takim rozwiązaniu techniki wykonania niebezpieczeństwo jednostronności, szczególnie ważne dla tego przedmiotu. Można by sobie wyobrazić najbardziej idealne warunki dla rozwiązania i przeprowadzenia takiego przedsięwzięcia pod postacią imprezy jakiegos towarzystwa naukowego.

I jeszcze jedno: znamy piękne przykłady „dlugowieczności” dzieł naukowych niemieckich — drobne w pierwszym wydaniu dzieło rozrasta się i doskonali, dostosowuje do nowych zadań i nowego materiału w szeregu dalszych wydań. Po śmierci autora względnie redaktora przechodzi na jego miejsce kto inny, a dzieło zawsze jest w handlu i czyni zadostę ostatnim potrzebom nauki. Nie trzeba więc od razu zakładać planu takiego słownika jako dzieła mającego walor ostatniego słowa w tej dziedzinie, niech pozostańki będą skromne, niech natomiast pozostanie możliwość doskonalenia i rozwoju w dalszych wydaniach.

VII

Efekty? Czy można spodziewać się, że wydawnictwo radykalnie zmieni istniejący stan rzeczy? Było by to oczywiście przesadą. Jeśli by doszło do skutku, to dopiero byłaby zrobiona mniejsza część drogi. Druga i ważniejsza leży w wyksztalceniu pewnej kultury naukowej pisarzy oddających się badaniom literackim. Tej kulturze naukowej stoi na przeszkodzie szkodliwy przesąd, że nauka o literaturze, historia literatury, to jakby część samej literatury, że sprawa ścisłości jest podporządkowana piękności i gładkości podania, że te badania literackie mają w tym sensie zbliżyć do dzieła, by podać sugestyjnie, drogą literackiego ujęcia nastrojów, specyficzną „aurę” dzieła, jednym słowem zauszerwaną irracjonalistycznie pogląd na dzieło. Dopóki te szkodliwe i sprzeczne z charakterem nauki poglądy i realizacje nie zostaną wyrugowane z praktyki literackiej (choć nie konieczne z krytyki, która ma inne specyficzne zadania), dopóty słownik taki nie mógłby spełnić w pełni swego zadania. Lecz w dokonującej się obecnie ewolucji pojęć przyczynić się może właśnie do zwycięstwa prawdziwej naukowej metody, dając badaczom narzędzie o dużej wartości metodycznej.

WŁADYSŁAW SEBYŁA

ZNÓW LETNIA NOC...

Zapomniałeś? Znow letnia noc o brzegi bije.
Przestaly krzyczeć zorze. Zakwitly kamienie.
Po ciemnych wodach pełną światel złote zmięje.
Roznoszą ciepłe wiatry dojrzałe nasienie.
A w tobie serce zgłodniałe uderza
Rytmem wielkiego ze światem przymierzera.

Czy słyszysz? Gwiazdy gwizdzą. Ściekają plomienie
po czarnych ścianach nieba. Dzwony ciszę dzwonią.
Idą chrząsty lasami. Błkocą strumienie.
Budzą się krótkie szmy nad zastygłą tonią.
Mówi ciemność. W czeluści bezbarwnej topieli
Głosy tych się błkają, co w niej zaginęli.

Słyszysz? Plusnęła ryba i szeptę się szęzą.
Płuca przestrzeni dyszą swobodnym oddechem.
W mroku gwiazdnej poświaty kochankowie leżą
i niewidzialnym dzielią się uśmiechom.
Sny sobie powierzają, znużeni rozkoszą,
niebaczni na trucizny, co w snach się panoszą.

Bo zmorzyła ich we śnie śmierć — i teraz marzą
o ciałach swych, że dawno w proch się rozsypany,
o takiej jak ta noc, nieobecną twarzą
zwróceniu w mrok, o świecie zapomnianym całym.
Marzą. A w kolo noc się rozprzestrzenia,
bije w brzeg, i zatapia kamienne marzenia.

WŁADYSŁAW SEBYŁA

owe powszechne znaczenie terminów literackich? W różnych ośrodkach naukowych, u wielu zwolowych badaczy znaczenia te są różne, które należy wybrać i stosować? czy je wybierać, czy po dawnemu nie wybierać a tylko konstruować? Kridl odpowiada, że rozwijająca się obecnie w tym kierunku nauka dopiero w przyszłości przyniesie rozwiązania i precyzję. Dopiero postępujące badania teoretyczne mogą przynieść konieczne ustalenia. Rozumowanie takie byłoby jednak zadwornie i niecelowe. Dyskusja na temat takiego lub innego ujmowania literatury i jej zjawisk będzie trwać zawsze, zawsze będą wyłaniać się problemy natury ogólnej, teoretycznej, wśród których powtarzać się będą badające na pierwszym miejscu zagadnienia dotyczące coraz bardziej precyzyjnego rozumienia poszczególnych elementów morfologicznych czy typologicznych. Czekanie na definitywne rozwiązanie takich własnie problemów nie wykażaloby dostatecznego zrozumienia dla poetyki i teorii literatury, jako samodzielných gałęzi nauk o literaturze. Oczywiście ustalenia terminologiczne i metodologiczne, uzyskane na podstawie badań teoretycznych, mają doniosłe znaczenie dla praktyki, lecz zupełnie niezależnie od nich też ostatnie, choć pożądané, nie jest zawsze możliwe. Nie można bowiem zawiesić badań praktycznych w oczekiwaniu na wyniki teoretyczne, gdyż może się przy takim założeniu wytworzyć błędne koło, w którym nigdy właściwie badania literackie nie znalazłby dla siebie miejsca. Przeczy temu oczywistość. Tak więc poprawy aktualnego a zlego stanu w zakresie stosowania ter-

taki postulat, należy sobie zdać sprawę z charakteru dzieła i sprzecywać bliżej wymagania i warunki.

Słownik encyklopedyczny nauki o literaturze nie może mieć charakteru dogmatycznego, nie może być słownikiem jednej tylko szkoły literackiej lub jednego uczonego. Raczej powinien by przedstawić ewolucję i historię znaczenia poszczególných terminów, dzieje krystalizowania się pojęć. Powołując się na przykłady można przytoczyć spośród wielu tego rodzaju wydań dwa znane i rozpowszechnione: *Reallexikon der deutschen Literaturgeschichte* i Eislera: *Wörterbuch der philosophischen Begriffe*, lub podobny w typie Lalande: *Vocabulaire technique et critique de la philosophie*. Najbardziej pożądanym byłby typ słownika Eislera lub Lalande, lub ich modyfikacja, w której na korzyść przedstawienia różnych stosowanych znaczeń ograniczono by systematyczny wykład znaczeń tak szeroko potraktowany w *Reallexikon*. Taki postulat wynika właśnie ze stanu nauki, polskiej szczególnie, ze stanu, w którym nie można jeszcze temu lub innemu znaczeniu przypisać bezwzględnej racji lub przewagi.

Zadaniem takiego słownika było by przede wszystkim poinformowanie badacza i czytelnika raczej o wielości znaczeń, niż podanie jakiegos jednego znaczenia, na które w dzisiejszych warunkach z pewnością nie uzyskano by powszechnej zgody. Rzeczą zaś sumienności autorów, korzystających z takiej pomocy, było by uzasadnienie wyboru i porozumienie się ze swymi czytelnikami co do obranego znaczenia. Tak pomysłami realiza-

TADEUSZ PEIPER

BAROJA, WOJNA i t p.

Wpadam w rozmowę między Baroją a Ksawerem Pruszyńskim. Gdybym powiedział, że się w nią wtrącam, powiedziałbym za wiele. Nie nawijaję ani do pytań ani do odpowiedzi, lecz siadam za krzesłem Baroju i mrużę.

Zaczynam od stanowiska, jakiego Baroja zajął w czasie wielkiej wojny, a czynię to nie tylko dlatego, że przytaczamy w tych latach w Hiszpanii nieubłąganą siłę frontów wojennych, ten właśnie okres Baroju znam najlepiej. Czynię to także z nakazów samej sprawy. Cokolwiek by się mówiło o konieczności rzucenia zasłony na minione orientacje, trudno nie wiedzieć, że ile razy chodzi o budowanie konturów któregośkolwiek spośród wybitniejszych współczesnych, tyle razy najwyraźniejsze ich krechy będą pochodziły z linii, które spoczywają, biegną czy mkną wśród tych kilku niezartanych lat: 1914 — 15 — 16 — 17 — 18. Otóż i Baroja late tu budują z wyrazistością, która zaspokaja wygórowane nawet życzenia.

Nie zrozumiał ani nie wycołał Pio Baroja ważności tego gigantycznego zderzenia narodów. Nie znajdował w nim nic z tych wroźb wewnętrznych, które miałem w sobie, a które mi mówiły, że owo zderzenie stanie się początkiem nowego stulecia, początkiem nowej epoki dziejów. Miałem wrażenie, że Baroja, patrząc na mapę ówczesnej Europy, klął króciutką szpiczką do punkieki, na których śladami swoimi zacylowały się mu chy. Żadnej sprawy nie brał w garść, nie odważał, nie rozkrakał, nie przekał, nie docierał do tego jej ośrodka, z którego mógłby wydobyć rozstrzygnięcie lub choćby tylko wyraźny nakaz. Powierzchownie posługiwał się ideami przetrzonego pochodzenia, a o faktych wypowiadał nieraz takie absurdy, jak np. to, że Niemcy zasymilowali Polaków do tego stopnia, iż pod zaborem niemieckim nikt już nie umiał po polsku. Poza tym ciągle co do wszystkiego miał wątpliwości.

W jednym tylko był niezachwiany: w sympatii dla Niemiec. Podczas gdy cały hiszpański świat intelektualny jednolitym blokiem stanął po stronie Francji i Anglii, on i jeszcze Jacenty Benawente demonstrowali germanofilie. Złosiłi sprowadzali ją do próżności pisańskiej, zdrażeniowej obojętności, jaką Paryż okazywał dla twórczości obu pisarzy mimo natężonych wysiłków z ich strony aby w stolicy nadekswawskiej, miejscu ostatecznych ocen, zyskać dla siebie uznanie. Zapewne jest w tej złościwości nieco prawdy, jednak w wypadku Baroju te zdrażeniowe pisańskie zrodziły nową serię myśli i bardzo mocno połączyły się ze swoim plodem. Wyroczno wspomnieć, że właśnie w rozgrzewany polemik wojennych, kiedy to ciągle egzaminowano kulturę różnych krajów dla uzyskania oceny ich wartości, wystąpił Baroja z ideą, że lacyzizm nie może być bazą wielkiej kultury, i z wyznaniem, że pisarstwo Źródłomorskiego nudza go, bo są tylko „kaligrafiami”. Nie ulegał wątpliwości, że te jego wyrzucenia godziły pośrednio we Francję. A ponieważ w tym samym czasie ponosił się w swym stosunku do kultury niemieckiej tak daleko, że nie cofnął się przed twierdzeniem, iż Niemcy wraz ze starożytną Grecją przyczyniły się najbardziej do emancypacji ludzkiego ducha, wszystko było jasne.

W sprawach samej wojny głos jego brzmiał niewiara. Najmierzyli tym, którzy mieli najbliższe. Więc jeszcze mniej hiszpańskim ententofilom niż samej Entencie. Ententofilom swego kraju nie wierzył, bo w ich stanowisku dopatrywał się służalczości i wiazał z nią ich bezkrytyczne powtarzanie francuskich oklepanek. Entencie nie wierzył, bo? — Powiedziałbym, że jej nie wierzył, bo wysuwała hasła zbyt piękne. Nie wierzył, aby Entencia walczyła naprawdę o wyzwolenie uciskanych narodów, nie wierzył, aby jej zwycięstwo miało zapoczątkować epokę sprawiedliwości, nie wierzył, bo w dzie-

dzinie walk politycznych widział tylko trwań wiecznego makiawelizmu, a idea postępu wydawała mu się nierzalną fantazją. Czując było, że podziwiał Niemcy poprzez ich armię jako narzędzie wśmiewania wielkich hasel, czując było, że ujmowała go brutalność pewnych wypowiedzi niemieckich właśnie dlatego, że odbijała od „kaligrafii”.

Popenił jednak błąd w ocenie siły. Wojna przeciągała się, pozycja Ententy, w miarę jak miały lata, stawała się coraz silniejsza, ententofilie hiszpańscy rozwijali coraz namiętniejszą propagandę za interwencją Hiszpanii w wojnie, ale Baroja ciągle jeszcze oblażał ich zimną wodą i jeszcze pod sam koniec wojny — pamiętam — zalecał, aby w stosunku do Francji i Anglii zdobyli się na trochę sceptycyzmu.

Trochę sceptycyzmu — otóż to, to jest Pio Baroja.

II

Włóknom sceptycyzmu odpowiadają w nim włókna antyfanatyzmu.

Jeśli czego nie ma w nim wcale, to owe go władczego plomienia, dokoła którego postępowanie ukladają się wszystkie myśli i w którym wnętrzu wytopiają się namietne postanowienia. Niechęć do wszelkich działań uliniowanych ideałem, niechęć do wszelkich przywódców uskrydlanych wiarą zdaje się być jedną z podstawowych sił psychicznych działających w tym pisarzu.

Wiążąc się z tym niechęć do nastawień duchowych i prądów umysłowych, wprowadzonych w duszę Europy, szczególnie zaś w duszę Hiszpanii, przez fanatyzm semicki. Niechęć ta splaya na wszystko, co ten pisarz mówi, a gdy nie splaya, sączy się podskórnym nurtem. Pio Baroja jest antysemitą.

Trzeba wiedzieć, że w Hiszpanii, dawnym kraju Inkwyzycji, cieszą się Żydzi w nowych czasach uznaniem. Niemal wszystkie warstwy społeczne nastawione są w stosunku do nich życiwalnie. Nieraz opowiadał mi o zapraszającym uprzejmym przyjeździe, jakimi ludźmi przemysł i handlu witali Żydów cudzoziemskich, zamierzających rozwinąć za Pirenejami jakakolwiek akcję gospodarczą. Jak myśli o Żydach lub, miałem sposobność przekonać się, gdy jedna z moich gospożni, bardzo prosta kobieta, wywozila w podnieceniu, że upadek wielkiej potęgi hiszpańskiej jest następstwem wypędzenia z niej wyznawców Jehowy. A już zgoda zabawy wydali mi się głos, który pochodził z najbardziej intelektualnych sfery Hiszpanii, głos pewnego literata, któremu opinia przyznawała szczególne wykształcenie, a który usiłował mnie przekonać, że kulturę niemiecką wynieśli na szczyty Żydzi i że gdyby Hiszpania nie była Żydom straciła, rywalizowałyby dziś z krajami, idącymi na czele światowej twórczości kulturalnej.

Prawdziwszą, głębszą i oryginalniejszą rolę odegrali w kulturze Hiszpanii inni semici: Arabowie. Trzeba sobie uprzytomnić jedno: Hiszpania znajdowała się pod ich panowaniem od wieku VIII aż do XV, t. zn. przez czas pięć razy dłuższy niż Polska pod zaborem. W ciągu tylu stuleci niewoli życie hiszpańskie musiało ode wpływowi najeźdźcy, tym bardziej że najeźdźca przynosił kulturę wyższą niż ta którą zastawał. Ludność tubylcza czuła to. Arabska medycyna, matematyka, legislatura, a może jeszcze bardziej alchemia, astrologia i demonologia bardzo pociągały chrześcijan. Klasyczna poezja kraju Romancera niejedną właściwością wzięła ze źródeł, które nie trudno odnieść do natchnień arabskich, a ludowa pieśń niejednę jego prowincji przechowuje w sobie po dziś dzień rytmy i werbalne gry improwizatorów, którzy przyszli z Afryki. Cuda architektury, wzniesionej przez przybyszów, wywarły na smak tubylców wpływ tak głęboki, że nie kończył się on bynajmniej wraz z wyzwoleniem politycznym, lecz na ziemiach, odkrywanych przez chrześcijan, trwał dalej i na niektórych utrzymywał się jeszcze ponad 200 lat.

Woda, z której Arabowie genialnie uczynili wspaniałą dekorację swych budowli, wiedzie myśl od ich architektury do ich agrykultury. W suche ziemi Hiszpanii wprowadzili oryginalny i znakomity system nawadniania. Uprawę roli podnieśli do nieznanego dotąd w tym kraju rozkwitu. Ich państwo Granady odznaczało się w czasach, poprzedzających zdobycie go przez władców hiszpańskich, taką żywnością, obfitością i bogactwem, że budziło zachwyt, marzenia i tęsknoty nie mniejsze wśród Hiszpanów, jak wśród Arabów. Ta część Hiszpanii stała się ziemią najlepiej uprawianą i najżyźniejszą, którą wyscilały sady webrane sokami owoców i ogrody obwiszone kwiatami o słodkich wionach i barwach goręcej. Pie-

śniarze opiewali tę ziemię, a ich słuchacze przekazywali jej sławę dalej. Przenosiła się ta sława z pokolenia na pokolenie, a że z niej to pochodzili chwalby ostatnich nawet czasów, to pojąłem, gdy raz gospodni moja, opowiadając marząc o Andaluzji, zestawiła ją w końcu z odkorkowanym flakonem perfum.

Siłę, z jaką działały wpływy przybyszów, uwydatnia znakomicie język kastylski. Widać w nim geste złoza arabszczyzny. To nie przypadek, że z arabskiego pochodzą wielkie ilości nazw owoców i płodów rolnych (alcachofa, albaricoque), nazwy związane z budownictwem (alcazar, alcaoba, almaen, albanil), nazwy związane z wnętrzem domu (alfombra, almohada), nazwy związane z administracją sądową (alcalde, alguacil). We wszystkich tych słowach przechowały się ślady owych obszernych i tak ściśle z życiem związanych dziedzin działalności, w których Arabowie byli mistrzami Hiszpanów.

A ich wpływ psychiczny? wpływ na duszę? wpływ na zabarwienie uczuć, na mechanizm woli? Musiał być o wiele większy niż to podają historycy, skoro uważa i przenikliwa obserwacja może uchwycić go w człowieku hiszpańskim dziś jeszcze. Od Arabów przejęli Hiszpanie okrucieństwo wobec wroga, pasję zamięniania zwyciężonych w niewolników, namietność nakładania nieludzkich kar na kraje zdobyte. Od Arabów przejęli wysokie natężenie fanatyzmu, który, przeniesiony na teren religii, przeszedł w wiarę, że oni, Hiszpanie, są w świecie katolicyzmu narodem najbardziej katolickim i że to daje im szczególne prawa w sterciach z innymi, a przeniesiony w późniejsze ruchy polityczne doprowadzał do nieustępliwości wobec przeciwników, do walk na śmierć i życie, do bezwzględnych działań, kończących się zagładą i zniszczeniem.

Przeciwko wszystkim tym wpływom walczył Pio Baroja, walczył z nimi przede wszystkim w samym sobie. Cała jego literatura zdaje się być produktem tej walki.

Jakby w buncie przeciwko barwności, o czystości, obfitości, z którymi przychodził mistrz arabski, ostentuje bezbarwność, suchotę. Jego Hiszpania to Hiszpania czarna.

Jakby w buncie przeciwko maurytańskim galantom, romantycznym bohaterom, nieustępliwością i żądym sławy wojownikom, wybiera dla swych powieści figury małe, cienne, słabe, nieate, włożęgowskie, rozbite. Wszystko, co wielkie i co karmi wiarę w wielkość, pozostawia go zimnym. Jego Hiszpania jest Hiszpania Sancho Pansy.

Ale najostrzej i najwyraźniej walczył z fanatyzmem. Walka ta daje się wysłuchać z wszystkich jego wypowiedzi. Czasem ujawnia się łatwym nawoływaniem do tolerancji, do spokojniutkiego współżycia wszystkich z wszystkimi, a czasem przechodzi w dziwaczność, których wartość intelektualną nie trudno ocenić. Mówi raz Baskijski Baroja o separatystycznych dążnościach Basków i Katalończyków; jako przeciwnik tych dążeń, powołuje się na ewolucję odwrotną, przeytą przez Włochy, gdzie małe państwka porzucają swą niezależność na rzecz jednności; usiłuje wytłumaczyć, dlaczego tam mimo antagonizmów jednność stała się możliwa. Oto jego wytłumaczenie: bo Piemont i Lombardia były krajami arabskimi, bo miały w sobie podłoże umysłu i chłodu. Niezbyt przekonujące tłumaczenie, ale bardzo charakterystyczne zestawienie: arabskość i chłód! Jeśli gdzie, to w Polsce nikt tego zestawienia nie przyjmie. Można by jego twórcę oskarżyć o miewczowanie się w sprawy lub o ignorancję, ale nie było by to istotne. Zestawienie Baroju jest paradoksem, w którym streścił się on cały: antysemita z antyfanatyzmu, antyfanatyk z chłodem.

III

Dla zobrazowania Baroju stworzono powiastkę o tym, jak będzie wyglądała chwila jego wejścia w siedzibę błogosławionych. Oto cherubin, któremu przypadnie misja zanonansowania przybysza, powie: Ten, który tu przybywa, będzie wśród nas bez przerwy chodził, będzie zaziarał we wszystkie kąty i wszędzie będzie robił obiekcje.

Taki jest stosunek Baroju do religii i katolicyzmu. Ale obiekcje obiekcjami, najważniejsza jednak jest ich wartość. Emocjonalna, intelektualna, ludzka.

Niestety to, co w tej dziedzinie daje chłodny pisarz hiszpański, zdradza taką niezdolność chwytnia istoty rzeczy, taką krótkowzroczną i krótkomyślną manię izolowania szczegółów, taką buntowniczość wobec kanonów odrzuconych od olbrzymiej katedry, że w zetknięciu z jego wypowiedziami w tej dziedzinie przypominają się pierwsze niepokojące kilkunastoletniego ucznia, który w

szeptanych rozmowach wyznaje przyjacielowi dręczące go od trzech dni wątpliwości. Jeśli jeszcze jako tako można liczyć się z twierdzeniem Baroju, że katolicyzm, jako konkretyzacja latynizmu, nie może być podłożem wielkiej kultury, to już związane z poprzednim twierdzeniem, że zbawienie kultury może wyjść tylko z intensywnej akcji antykatoickiej w rodzaju bismarkowskiego kulturkampfu, przypomina zadwołałą mied psotnika, przyklądające rozczerpioną dłoń do zasmarkanego nosa. Ubóstwo intelektualne tego pisarza, który nie umiał zwałoryzować swego sceptycyzmu, nie ujawnia się nigdzie tak wyraziście, jak w zetknięciu ze sprawami religijnymi.

Jedną z jego bohaterów zachodzi w swych włocegach do Toledo. W tym mieście, w którym w ciągu kilkunastu stuleci jego historii ciągle szalała nienawiść i drgała miłość, w którego murach stałały się najzaciętsze walki wiar i wyznani, a w którego cieniach alkohar milose namietności nieraz decydowały o losie największych spraw, w tym mieście, które było sceną najkrwawszych i najbardziej niszczycielskich bojów między jego każdorazowymi posiadaczami a jego poddażkami. — w tym mieście bohater Baroju szuka mistyki!

Gdy w ciągu mego pobytu w Hiszpanii zajeżdżałem w toledańskie ulice, byłem w tym wieku, co bohater Baroju. Pamiętam chwilę, kiedy z drogi zeszedł i pokryty żółtym kurzem ujrzałem raz pierwszy wysokie wzgórze o stromych skalistych stokach, z drożką pnącą się w górę linią melodyjnie wznoszącą, z dumnym wywodzące się formy nacynia i ramienia uprzytomniły mi, że na powierzchniach tego wzgórze trwają jeszcze najodleglejsze świątynie. To wzniesienie przebiegało się ciągle. Starodawne mosty, starodawne bramy, powalone zamki, ulice cienne i tak wąskie, że wyciągnięty poziom ramionami można było dotykać przeciwnych dworków, i domki same zbudowane z orientalnych strachem przed słońcem, i fizjognomie ludzkie, które znamionowała jakaś odrębna złożoność, i Zodocower, nazwa głównego placu. — to wszystko zawierało stulecia historii w nieznanym mi dotąd rozmiarze. Toledo stawało się dla mnie miastem, którego głosłem martwym opowiadało o życiu. Ogłądałem potem kamienne ślady panowania Rzymian na tej ziemi, a potem ślady ich spadkobierców, Wizygotów, którzy tu mieli swą stolicę, a potem obfity spuszczanie Arabów, którzy tu sprawowali rządy przez trzy stulecia i pozostawili nie tylko swoje meczety i arabsko-żydowskie synagogi, ale przekazali swe upodobania katolickim kościołom, kaplicom i szpitalom. A bohater Baroju szuka w tym mieście mistyki katolickiej!

Oczywiście nie znajduję jej. Bo co? Bo... bo twierdzi, że książd, którego poznał, jest nieswiadomym wolterianem, że robi żarty na temat rzeczy najświętszych, że imię religijnej zastępuje całkowicie idea sztuki i że kościół jest dla niego tylko instytucją artystyczną. I jeszcze co? Jeszcze słyszy, że w toledańskich klasztorach nie ma już kobiet bogatych i dobrze wychowanych, że tamtejsze zakonice są ordynarne, że są to kobiety, które jako prakczki nie mogłyby zarobić na swoje utrzymanie i dlatego szukają go w klasztorach. Jeszcze słyszy o nich to i owo. Na podstawie takiego typu zasłyzeń i podobnego typu spostrzeżeń dochodzi do wniosku, że Toledo nie jest owym miastem mistycznym, o którym marzył. Właściwie należało by powiedzieć: zamarzył. Bo to marzenie pojawiło się w nim nagle, bez związku psychologicznego z tym, co było w nim poprzednio. Jest oczywiste, że stało się to tylko po to, aby o mieście, które jest siedzibą prymasa, mógł autor wypowiedzieć swe sceptyczne „obiekcje”.

Zdaje sobie sprawę z tego, że z postaci Baroju wyepreparował jedno włókno, sceptycyzm, i że wzdłuż niego prowadził wszystkie inne. Jest to niewątpliwie uproszczenie. Jedno jest pewne: składnik sceptycyzmu istnieje w osobowości Baroju stanowczo. Nie, jeszcze jedno jest pewne: ten składnik działa w tej osobowości na terenie wszystkich spraw, które poruszył. Działał w niej na tym terenie inne jeszcze siły psychiczne, to prawda, ale nie pomnęłam dla jasności konturu. Rysowałem.

TADEUSZ PEIPER

TADEUSZ GRZEBIENIOWSKI

IRLANDIA
WSPÓŁCZESNAPOLITYKA
KULTURA
LITERATURA

WYDAWNICTWO „DROGI”

Skład Główny: Warszawa, Księgarnia
TRZASKI, EVERTA i MICHALSKIEGO

ZOFIA KRZEMICKA

PÓŁ WIEKU W SŁUŻBIE NAUKI

Pięćdziesięciolecie Polskiego Towarzystwa Historycznego — to chluba pozycji polskiego świata historycznego nie tylko pod względem naukowego dorobku, ale przede wszystkim z uwagi na rolę, jaką odegrało Polskie Towarzystwo Historyczne na przestrzeni lat 50 w służbie narodu, w formowaniu polskiej myśli politycznej, w przekuwaniu ideologii narodowej w dobre dążenia niepodległościowych, w wycieczaniu szlaków rozwojowych opartych na ciągłości dziejowej polskiej racji stanu w Polsce Odrodzonej.

Prakomórka Polskiego Towarzystwa Historycznego — lwowskie Towarzystwo Historyczne związane w październiku 1886, „narodziło się nie z jakichś przemysłowych a skomplikowanych profesorskich pomysłów, lecz z młodzieńczego porwy kilku skupionych około uniwersytetu i Ossolineum adeptów wiedzy historycznej, jak Oswald Balzer, Ludwik Finkel, Ferd. Pappé, Antoni Prochaska, W. Semkowicz i inn., przy duchowym ojostwie i patronacji prof. Lisieckiego” — jak to określili w swym przemówieniu jubileuszowym nowo obrany prezes, prof. Ludwik Kolanowski. Garstka entuzjastów, wyposażona w znikome środki materialne (200 zł. r. zebranych dla uczczenia jubileuszu pracy pedagogicznej prof. Lisieckiego) stworzyła ognisko, mające ześrodkować wysiłki badaczy historii i miłośników historii dla ujawnienia prawdy historycznej i pokazania jej najszerszym warstwom społeczeństwa. Tak powstała platforma zorganizowanej pracy naukowej, która wypowiadać się miała w powstałym równocześnie *Kwartalniku Historycznym*. Pomimo ciężkich warunków udało się przełamać opory kordonów i przejść poprzez granice. Towarzystwo Historyczne stało się organizacją międzydzielnicową, która wciągnęła do współpracy rozmaite zgrupowania historyków i najwybitniejszych badaczy, pozyskała rzeszę miłośników. Rozkwit i rozbudowa Towarzystwa Historycznego to nie tylko zasługa wybitnych prezesów, jak Ksawery Lisiecki, Tadeusz Wojciechowski, Ludwik Finkel, Stanisław Zakrzewski i Franciszek Burjak, to nie tylko wynik ofiarności szeregu dzielnych współpracowników, ale w znacznej mierze samej idei Towarzystwa i jego hasła. Dzwienie wspaniałe iściło się błogosławieństwo udzielone Towarzystwu przez umierającego pierwszego prezesa, Lisieckiego. Stało się ono potężną dźwignią idei państwowej z chwilą odzyskania niepodległego bytu. Dążność do poznania prawdy — do ujawnienia istotnego przebiegu wydarzeń, do spojrzenia na przeszłość własnymi oczyma i dojsza do *prawdy historycznej* i jej poznania stało się hasłem, które realizowało Towarzystwo Historyczne w swych ramach organizacyjnych, i temu zawdzięcza swój międzydzielnicowy charakter w początkach przelotnego w ogólną polski w dalszej ewolucji. W Polsce Niepodległej mogło się Towarzystwo Historyczne przetrwać w Polsce Towarzystwo Historyczne, które zawiązyło miało nie tylko na skutek rozszerzenia zasięgu terytorialnego ale dzięki opanowaniu mnogości nowych problemów i zagadnień, które narodziły się w posiadaniu własnej państwowości. Wyrazem żywności i siły Towarzystwa jest wzrastająca ilość członków (przebież 1200), skupiających się w coraz większej ilości nowych ognisk, które powstały nie tylko w centrach uniwersyteckich, ale i ośrodkach prowincjonalnych w związku z prądem badań regionalnych. Rywalizują one wszystkie w szlachetnej emulacji, w aktywności referatów, odczytów i wydawniczej. Pięćdziesiąt tomów *Kwartalnika* — to chluby obraz nauki polskiej. Wiele mówiący jest spis współpracowników pisma i członków Towarzystwa. Objął on tych wszystkich, których nazwiska zapisane są złotymi głoskami na kartach polskiej historiografii. Na łamach *Kwartalnika* zdobywała sobie ostrogi rycerskie dzisiejsza generacja historyków. Ster redaktorski przechodził z rąk Lisieckiego do Oswalda Balzera, do Semkowiça, Pappého, Finkla, St. Zakrzewskiego, Ptasnika i T. Modelskiego, a obecnie K. Tyrbowskiego, lecz niezmienną pozostała linia czasopisma, które stało się sprawdzianem naszych zdobyczy historycznych.

„A służąc nauce, pełniło Towarzystwo Historyczne przez ciężkie lata niewoli wierną służbę ojczyźnie, wypełniało wielką pracę nad odrodzeniem ideowym narodu — służbę nie zogniskowaną w jakimś tendencyjnym, propagandowym dziejopisarstwie — ale w rozbudowie silnej i zdrowej *świadomości narodowej*, opartej na bezwzględnej prawdzie, uzyskanej przez rzetelną pracę badawczą, i objęcie tą świadomością warstw najszerszych, z którego tego dawniej wyłączonej. Tak powstała wielka i potężna masa obywateli narodowo uświadomionych, tak wielka,



że aspiracje jej i dążenia zawiązywały musiały na rozstrzygnięciu losów Polski“. I słusznie podkreślił prof. Kolanowski w dalszym ciągu swego jubileuszowego przemówienia wielką rolę, jaką odegrała wiedza historyczna, rozważając w XIX wieku pytanie, jak żyłymi wolni i dlaczegośmy upadli. „Owo po-

głębienie i rozszerzenie wiedzy o wszelkich przejawach życia i bytu narodu w wiekach ubiegłych stało się wielkim wkładem nauki historycznej w dziejach odrodzenia narodo-
wego. Towarzystwo Historycznemu przypadało szczone zadanie skierowania do wspólnego nurtu badań indywidualnych, związa-

nie ich energii i dążeń w jeden wielki wysiłek dla postępu nauki i narodu — dla osłoneżenia i podtrzymania swą opieką i organizacją całokształtu historycznego myślenia“. Niepodległość państwa przekształcała naszą pożywkę i nasze historyczne miary i wagę, zmieniając nas ze zdeptowanych lub rwących okowy poddanych obcych państw w wolnych obywateli. Aktywny ster dziejów na naszych ziemiach dostał się znów w nasze ręce. Wtedy dopiero znikł z naszego dziejopisarstwa dawny ton minorowy — ton czynienia rekrminacji przeszłości i czerzenie stawiania jej dezcyderatów. Dziś wśród wielkich i równorzędnych w nauce zagadnień dominuje problem wartości duchowych i moralnych sił twórczych narodu, poznanie walorów, jakimi stał naród w swej dawnej organizacji państwowej w okresie swej mocarstwowej, gospodarczej i kulturalnej ekspansji.

W tych słowach ujął przez P. T. H. prof. Kolanowski obecne cele Towarzystwa, które weszło w drugie 50-lecie swego istnienia z wysoko podniesionym sztaendarem, na którym gorejącymi głoskami wypisana była, jest i będzie — *Prawda i Wolność*.

ZOFIA KRZEMICKA

KAROL IRZYKOWSKI

PRZEKLEŃSTWO DOBREGO CZYNU

TEATR NARODOWY: *Powrót Przełęczkiego*, sztuka w 3 aktach Jerzego Zawieyskiego.

W *Przełęczce* Żeromskiego tyle pozostało dziur i niedomówień, że sprawa tajemniczej trójki: Smugoni — Smugoniowa — Przełęczki, prosiła się niejako sama o rekwizyfikację. Dobry przeto pomysł miał Zawieyski, żeby zrobić to nie za pomocą rozpraw, lecz napisać dalszy ciąg *Przełęczki* i zrewidować w ten sposób jej zagadnienia. Przełęczki wraca po 10 latach — i co zastaje? czy pozwala swego wyrzeczenia się? czy Smugoniowa jest szczęśliwa? Czy Smugoni jest szczęśliwy? Jak prosperuje instytut regionalny w Porębianach? Te i tym podobne pytania rozstrzygają się w sztuce, a publiczność łatwo bierze stronę nowego autora przeciw starym, jest ujęta i z góry przekonana, gdy widzi taki wynik: że nikt nie jest szczęśliwy, że poświęcenie się Przełęczkiego było pomyłką serca i rozumu. Dziś nie lubimy poświęceń ze szczęścia osobistego, uważamy, że one do budowy szczęścia ogółu nie są konieczne, bo sprawy ogółu mają inny budulec, w miejsce poświęceń i tak zastąpił wszędzie — przynus. Wiąc jeżeli p. Monika Żeromska w nietakownym skądinąd liście otwartym „protestując“ przeciw sztuce Zawieyskiego, wyczuwa słusznie, że jego sztuka jest bądź co bądź nie tyle literacka, ile — powiedziałmy — życiową krytyką *Przełęczki* i samego Żeromskiego, pokazuje — przekleństwo dobrego czynu.

Ale Zawieyski podjął się zadania nad swe sily, nie sprostał mu. *Powrót* szwankuje przede wszystkim w dialogu, a z tym łączą się też sprawy treści, która jest nie wystarczająca. Dialog jest zbyt często beznadziejny, rozlekły, wypelniony trywialnościami w rodzaju „no i co?“ (pyta Przełęczki) lub banalnościami („lepiej śmieć niż...“). W I akcie mówi się wciąż o jakiejś „robocie“ a słuchacz nie dowiadyuje się, o jakiej. Przecież to nie są już czasy spiesków, kiedy „robota“ była czymś zrozumieliśmy samo przez się. Nieustanne trągnięcie, odsuwanie point, przeciąganie zwierzeń, robenie nastroju i przygotowania do wypowiedzi, które ostatecz-

nie nie są rewelacją, kołowanie i powtarzanie, nieuzasadnione paazy — taki dialog jest albo źle rzemiosło albo trzymanie się niewłaściwego wzoru. Wzorem Zawieyskiego jest zapewne Ibsen, lecz u Ibsena tajemniczenie, retardacja, wymowne pudełek z pudełek tłumaczy się tym, że jak na swoje czasy mówił rzeczy naprawdę odważne i niezwykłe. Na końcu takiego wkielkiego dialogu bohaterzy Zawieyskiego mówią sobie ostroźnie: „dziwny człowiek z pana“ albo „bardzo ciekawie się z panem rozmawiało“ — gdy my tej dziwności ani ciekawości nie odczuwamy, a przynajmniej nie chcemy, żeby sam autor naszą ocenę przesądzał.

Szczególnie słabo wyszedł na tym *Przełęczki*, utrzymamy zresztą w charakterze, jaki mu dał Żeromski, lecz nie napelniony nową treścią, ogromnie wychudzony i zgazonny. Być może, że autor, powodowany pietyzmem wobec Żeromskiego, nie chciał tej figury zbytnio przerabiać po swojemu, ale w takim razie po co sztuka. Bardzo ubogo wypadła zwłaszcza część erotyczna sztuki. Zawieyski opowiada, że w rok po wypadkach *Przełęczki* Smugoniowa odgadła szlachetny podstęp Przełęczkiego, szukała go bezskutecznie, wróciła jak nieżywa i odtąd już nie była Smugoniowi żoną, bo Przełęczki stał się dla niej bożyszczem. Iłeż to rzeczy niepowiedzianych! A po tych 10 latach jakże mdle jest spotkanie tych dwojga! Stanowczo za dużo chce się dziś wyrzucić przez apostojeści, przemilczanie (w powieści, w liście także), jest to metafóra bardzo zawodna i — wygodna. W końcu Przełęczki rezygnuje po raz drugi, to bardzo naturalne, ale chcieliśmy lepiej wiedzieć jak i dlaczego. Smugoniowa jest biernym kłosem, znów jest to bardzo naturalne, ale i kłosestwo ma swoje wyświlenie. Szydłowa stawia np. słuszny zarzut, czemu Smugoniowa nie rozumie, że i Smugoni cierpi, czemu jej to wcale nie interesuje. Nie dotknięte linie stosunków między ludźmi, nie wygrane do końca warki.

Najlepiej i najobficiej wyszła strona pedagogiczna sprawy Przełęczkiego, ale mija jeden akt i drugi, zanim rozumiem zaczynamy, na czym polega fiasko instytutu w Porębianach, co znaczy kontrast między Przełęczkim

a nową gwiazdą pedagogiczną Gabrysiem. Ale ta różnica jest dosyć obojętna, raczej polityczna, administracyjna, nie spłata się organicznie z resztą sztuki i jej założen. Gabrys, ten nowy Przełęczki, jest udaną figurą, tu Zawieyski okazał się twórczym, wzbogacił rzeczywistość cały inwentarz problemu *Przełęczki*. Ale stało się to kosztem Przełęczkiego. Zdzwienie nas ognia, że ten genialny Przełęczki, co prawda po 10 latach niebytności w kraju, nie orientuje się w nowych warunkach działalności pedagogicznej, upiera się przy swoim instytucie, choć Gabrys mu wytłumaczył jego beznadziejność. Upiera się — nie upiera. Bo w scenie z Gabrysiem Przełęczki sam przecież ofiarowuje mu swą współpracę w zakładanym przez Gabrysię uniwersytecie ludowym, dopiero gdy Gabrys — to jest doskonale i niespodziany pomysł — odrzuca tę pomoc, Przełęczki na nowo przekonuje się do instytutu. Niewyjaśnione są to sprawy w swym pragmatyzmie; zapewne stary „omnibusowy“ niefachowy instytut Przełęczki będzie zaszczerwał wychowankom idee humanitarne, ogólnoludzkie, poświęceniowe, lepiej niż chłopski a outrance zakład Gabrysi, — ale to sobie dopiero wykombinować potrzeba, autor czegoś tu nie dorobił.

Wystawieniu *Powrotu* zarzucam, że nie pomogło młodemu autorowi, raczej mu szkodziło. Wady dialogu zostały powiększone przez rozwlekanie pauz, przez nudne i ciche mówienie. Jak grała p. Modzelewska jako Smugoniowa, tego nie wiem, bo jej wcale nie słyszałem. Osterwa jako Przełęczki grał tak, że widać było, że ten Przełęczki nie ma wiele do powiedzenia, że ten Przełęczki nie bądź co bądź dawną sympatyczną sylwetkę. Najlepiej był Smugoni p. Dominiaka, ale bo też i Smugoni Zawieyskiego jest obok Gabrysi najlepszą figurą sztuki, — ma krew, nienawidzi, skarży się, demaskuje.

Szkoda tematu! I szkoda autora, który miał kilka dobrych i głębokich pomysłów, a był widocznym skrepowany; przesłanki, które powinny były ułatwić mu pracę, w końcu mu ją utrudniły.

KAROL IRZYKOWSKI



„POWRÓT PRZEŁĘCZKIEGO“ W TEATRZE NARODOWYM. AKT III.

Ś W I A T K S I A ą Ż E K

STEFAN BALEY: *Osobowość twórcza Zeromskiego* (studium z zakresu psychologii twórczości). Nakł. „Naszej Księgarni”, W-wa 1936, str. 228.

Bogata wielokrotność Zeromskiego, tyle kłopotu sprawiająca miłośnikom segregacji i wszelkiego schematu, ujawnia ciągle jeszcze dziewicze tereny, na które wrzaca stopa badacza.

Właśnie prof. Stefan Baley podjął ostatnio ogromnie interesujący problem struktury psychicznej osobowości Zeromskiego¹, ilustrując swoje tezy odnośnym materiałem artystycznym. Niekiedy będą to stwierdzenia rzeczy „uż wiadomych, lecz czekających na systematyczne powiązanie w całość i wyjaśnienie; niekiedy — odkrycia, dorzucające do wiedzy o Zeromskim nowy aspekt.

Postawienie ewentualnych „antytez”, co do struktury psychicznej autora *Popiołów*, zostawiając kompetentnym fachowcom psychologom, pragnę jedynie omówić na tym miejscu „temat literacki” wymienionej pracy. Jak wpływają na twórczość Zeromskiego cechy kardynalne jego psychiki?

Prof. Baley upatruje w strukturze psychicznej Zeromskiego trzy główne cechy, powiązane ze sobą ściśle, stale współgrające na dnie duszy i w kształcie skomplikowanym, niejednokrotnie trudnym do zrozumienia — dochodzące do głosu: perseweracyjność, synestezyjność i wrzesniowość. To te pierwiastki zasadnicze omawia autor w sposób jeśli nie zawsze wyczerpujący, to jednak wnikliwy i zdradzający dużą inwencję.

Referując jednak tezy prof. Baleya na użytek recenzji należy do większej klarowności rozpocząć w porządku odwrotnym, więcej raczej emocjonalnym Zeromskiego wysuwając na plan pierwszy.

Zgodnie z powszechnym głosem krytyki prof. Baley podnosi wyjątkowo instynktów autora *Ludzi bezdomnych*. Wypowiadają się one „obficie” i intensywnie. Stąd stany Zeromskiego przybierają niekiedy formę paroksyzmów, niekiedy nieszczęśliwych wybuchów, a środki wyrażenia, t. j. styl, nabierają tylekroć podkreślonego charakteru „superylatywizmu”.

A ponieważ, jak stwierdza prof. Baley, instynkty antagonizujące nie tylko współistnieć mogą w jednej i tej samej osobie, lecz niekiedy „jak gdyby częściowo zachodzą na siebie, przyszkrywają się nawzajem, nie niszcząc siebie jednak przez to i nie przepijając”, — następuje brzozienna w praktyce wielotorowość. Wzgarda i litosć, rozpacz i radość, irytacja gwałtowna i pogodna, złość i rozżalenie — łączą się w sposób naturalny, lecz trudny do zrozumienia, Albowiem, przykładając do bohaterów Zeromskiego przeciętną, ludzką miarę, trudno rozstrzygnąć, czy są oni szczęśliwi czy nieszczęśliwi, stanowczy czy nie zdecydowani i t. p. Stąd różnice w ocenie typów Zeromskiego, gwałtowne negacje i apoteozy.

Zapewne, jest to rzecz fenomenalna: nosić w sobie tak różne pierwiastki kontrastowe. Autor omawianej książki wyraża przekonanie, że na szmarzonym przeciwstawianych sobie tendencji nie zezwoliła Zeromskiemu jego natura, będąca pomieszaniem dwu typów kretachmerowskich: cyklotymika i schizotypika. Jak wiadomo, pierwszy typ charakteryzuje nagłe przejście od aktywności i wesołego nastroju do apatii i na odwrót. Prof. Baley, stawiając swoją tezę, sięga po dowody jedynie do utworów Zeromskiego, niewątpliwie gdyby chciał uwzględnić materiał tak subiektywny, jak listy pisarza — znalazłby jeszcze więcej danych na potwierdzenie słuszności swojej myśli. W istocie, osobowość Zeromskiego przyrównać można do fal, przebiegających arytmicznie. Skoki podniecenia i depresji, fazy wzmożenia i upadku... To właściwości Zeromskiego tłumaczą braki w jego konstrukcjach powieściowych, nagłe zrywy w postępowaniu bohaterów i t. p. Poszarpana tkanina takich utworów, jak *Ludzie bezdomni*, *Popioły*, *Przedmieszanie*, zdaje się być wytworem „marnakalnych” faz w przebiegu twórczości Zeromskiego.

Wstrząs wrzesniowości, ogarniający całą psychikę na skutek nadwrażliwości uczuciowej i pobudzenia jakiegoś określonego zmysłu ulega wielokrotnieniu dzięki drugiej kardynalnej właściwości Zeromskiego: skłonności do synestezji. Zjawisko to można by przyrównać do rozchodzenia się kół na wodzie po rzuceniu kamienia. Pobudzony został jeden tylko zmysł, lecz współodpowiada również inny.

Tą skłonnością do synestezji da się wytłumaczyć wrażenie chaosu, jakie sprawia lektura pisma Zeromskiego. Wszelko tu jest jakos połączone, powiązane, stopione; wszystko jakos zlewa się, upodabnia się, przenika i współgra. Dzieło Zeromskiego niby harfa za dotknięciem brzozi od razu na wszystkich strunach. Co więcej! Dyspozyje syne-

stezyjne musiały nasilić antynomie psychiczne Zeromskiego, musiały sprawić, że odczuwały się one wielokrotnym echem w różnych sferach. Prof. Baley wysuwa bardzo ciekawą tezę, że tu tkwi źródło tragizmu Zeromskiego. Już nie źródło — spieniony nurt, który po wszystkich zyłach krwią buzuje, rozdwaja się i kotłuje w obiegu. „Jak mogła rozwijać się wiara — zapytuje prof. Baley — której od razu przeciwstawiło się zwątpienie, zachwył, na którego dnie czailo się ironiczne szyderstwo, miłość, której przeciwstawiła się nienawiść, rozkosz, która stała podżycza była smutkiem”. Jeśli narwet także odwołanie się do osobliwości struktury psychicznej pisarza nie tłumaczy przyczyn owego konfliktu w sposób całkowity, to jednak w znacznej części wydaje się słuszne. W każdym bądź razie wiedzę o Zeromskim przybysza bardzo ciekawa teza: synestezyjność, jako źródło tragizmu autora *Róży*.

Z tej tezy przystępny zdają się pochodzą dysproporcje artystyczne w dziełach Zeromskiego: owo pomieszanie natchnionych stronnic z szarymi wkładkami ze społecznymi broszur, nieskazitelne piękno i prawie grafomania. Bo jeśli ciągle konflikt psychiczny kontrastów z jednej strony zaplanował wyobraźnię pisarza a za pomocą synestezyjności budził wszystkie struny, to z drugiej — wymagał ciągłego napięcia twórczych sił, nieomal ekstazy pełnego widzenia, ustawicznego podnoszenia się na poziom, na którego trudno było wytrwać stałe.

Trzecia kardynalna cecha struktury psychicznej Zeromskiego jest, zdaniem prof. Baleya, perseweracja. Jakies słowo, jakies wyobrażenie wraca stale, nasuwa się natrętne. Dwukrotne, trzykrotne powtórzenia zdają się być ozdobą stylu, ale oto odnajdujemy jedne i te same elementy, oddzielone tylko przerwy. Persewują słoła, zdarzenia, sytuacje, konflikty i postaci bohaterów, zyskując sobie niejako sobowótów. Właściwie mówiąc, przez twórczość Zeromskiego snuje się ciągle jeden i ten sam watek. I tylko genialność pisarza sprawia, że urasta on w wielką i pyszną osnowę.

GRZEGORZ TIMOFIEJEW

FRANCOIS MAURIAK: *Życie Jezusa*. Warszawa 1937. Tow. Wyd. „Rój”. Przekład Marti Czapskiej.

Istotą religii jest wiara w wieczność, w bezwzględne istnienie pewnych wartości, które nadają moralne znaczenie życiu — a wrzesnie źródłowanie całego życia uczuciowego około tych bezwzględnych przyjętych wartości oraz dążność *ad aeternitatem animi*. „Istotą chrześcijaństwa jest Chrystus. I to nie tyle jego nauka, co jego Osoba. Toteż teki były brane oddzielnie, w oderwaniu od niego, tracąc od razu swoje znaczenie i swoje życie. Cała przenikliwość krytyków, cała ich cierpliwosć i rzetelność mogły przynieść, i niezawodnie przyniosły, duże usługi w dziedzinie materialnych badań nad księgami, w których kościoł pierwotny zawarł swoje wizerzenia; wszelako bez wiary egzegeci nie byłby mogli wnikać w życie wewnętrzne tekstów, nie mogłoby poznać ich ciągłości, dynamiki i tajemnicy, osiągalnych jedynie w Promieniowaniu Obecności, która jest ich duszą”.

Te słoła, wyjęte z dzieła p. t. *Poemat Liturgii Świętej* Maurycego Zundela stały się mottem książki Francois Mauriak.

„Wzajemnie — mówi Mauriak — że zażwe oby był mi stan umysłowy (który szanuje) tych ludzi, co, powołując się na katolicyzm, wzbraniają się jednocześnie wierzyć w Chrystusa realnego. Gdybym nie wierzył w słoło pewnego człowieka urodzonego za Augusta, a ukrzyżowanego za Tyberiusza... dogmaty Kościoła, jego hierarchia, dyscyplina, liturgia straciłyby dla mnie wszelką wartość, nawet wszelkie piękno: jego piękno, jego prawdę. Gdyby Jezus nie był to blask prawdy, w katedrach tył. Chrystusem, odczuwałbym w katedrach tył. przerozumną pustkę”. W wyznaczeniu przystępnie są cały stosunek artysty do Chrystusa; Mauriak pragnie udowodnić na podstawie tekstów, że Jezus z Ewangielii jest przeciwieństwem istoty sztucznej i złożonej. „To postać najbardziej dynamiczną spośród wielkich postaci Historii”.

Książka ta nas niepokoi. Mauriak zmusza nas, abymy byli uczestnikami w walce — o jego Boga... Mauriak wie, domyśla się, iż „książka ta wzniciła błogosławioną niepokój w niejednym upionym umieniu”. Wynikiem tej walki — rozmyślni nad Osobą Jezusa, Boga żywego, jest właśnie owo dzieło.

Pierwsze wydanie francuskie *Życia Jezusa*, które ukazało się w lutym roku 1936 z aprobatą władzy duchownej, rozszło się w ciągu pięciu miesięcy. Sam autor tłumaczył ten fakt — „aktualnością” osoby Jezusa Chrystusa. „Moment dziejowy, który

przeżywamy, pozwala nam wnikać w treść tajemniczego zapytania, jakie Jezus zadal sobie samemu i pozostawił bez odpowiedzi: „Wszakże, gdy przyjde Syn Człowieczy, czy znajdzie wiarę na ziemi?”

LESZEK BARTELSKI

BOLESŁAW PIACH: *Nas jest więcej...* Str. 187. „Nasza Księgarnia”, Warszawa 1937.

Nas jest więcej... — „nas”, t. zn. dzieci, wychowanych w nędzy, nędzą gnanych poprzez koleiny pełne błota, zagubionych w nieszczęściu, opuszczonych i pokrzywdzonych; dzieci, które pozostawione w takich warunkach same sobie giną — jeśli im ręka nie poda; i drogi nie wskazać. Spotykamy je wszędzie: włóczą się na „wagarach” grupami, „na gapę” podróżują z miasta do miasta, pod mostami nocują, na ławkach w parku, na kłatkach schodowych, żebrzą, kradną — stali klientami sądów dla nieletnich. Ci wszyscy są bohaterami książki Bolesława Piacha. I wszyscy potrzebują dobrych ludzi, wczekują ich niewiadomo, szukają, wiedząc, odczuwając, że dzięki dobrym ludziom nie utoną. Charakterystyczne, że ci „dobrzy ludzie” są dziećmi obcy, nie związani z nimi pokrewieństwem, rodzice zaś są „nijacy”. Nie żli, ale i nie dobrzy. Nieszczęśliwi jak dzieci.

„...pewnie, że bieda robi z nas przestępców, ale to nie wszystko — pisze w pamiętniku Danusia, która w „poprawniku” odzyskała pamięć. — Bardzo ważne jest wychowanie. Nas teraz wychowuje pani Zofia. Ona ma dwadzieścia parę lat, uczyła się kilkanaście lat, zanim została wychowawczynią. Za to mój ojciec umie tylko czytać i pisać, a mama nawet tego nie umiała. Moja macocha też jest niewykształcona. Więc skąd tacy ludzie mają wiedzieć, jak trzeba wychowywać dzieci, jak trzeba w nich wyrabiać ten charakter i silną wolę. Pani Zofia uczyła się, jak trzeba postępować z dziećmi, kiedy ma 8 lat, kiedy ma 11 i kiedy jest już zupełnie duża — a oni? Oni wiedzą tylko tyle, że jak dziecko jest niegrzeczne albo im w czymś przeszkadza, to trzeba je zbić. A jak im jest źle w życiu, to jeszcze więcej biją dziecko. A jak im jest tego dziecka żal, że się tak razem z nimi wiec, znowu je biją ze złości, że nic na to nie mogą poradzić”.

Tytuł *Nas jest więcej...* — ma podwójne znaczenie i „nas” w tym drugim znaczeniu obejmuje tych wszystkich, którzy nie spotkali dobrych ludzi, którzy — jak Jurek — skazyani zostali na całowieczne przemykanie się cieniem, z głową wciągniętą w ramiona, z kapułem na oczach nasuniętym, w nieciecz przed granatową sprawiedliwością.

Bolesław Piach rozporządza stylem opiewanym, przystosowanym do koloru powieści, zgodnym ze sposobem odczucia bohaterów. Książkę cechuje świeżosć i bezpośredniość w narracji czy opisie, a przede wszystkim stara ale niezwykle szlachetna tendencja.

HENRYK HUZIK

ANNA ODERFELDOWNA: *Młodzież przedmieścia*. Z badań ankietowych na Ochocie. Instytut Spraw Społecznych. Warszawa 1937.

Wydana przez Instytut Spraw Społecznych praca stawia sobie za zadanie „osiwieścić warunki życia tej młodzieży, o której społeczeństwo nie wie prawie, dla której nie prawie nie robi”. *Przedmieście* stolec, „w którym krzyżują się wpływy wielkiego miasta z warunkami bytowania nieraz niemal wiejskimi”, bardziej niż jakiekolwiek inne środowisko zalumuje w sobie jak w przymcaie wszystkie bolączki życia współczesnego i alarmująca wymową cyfr wola o zorganizowanie produktywnych pomocy.

Za teren obserwacji obrano zatem Ochotę, uwzględnając młodzież od lat 16 do 20, jako tę, która ma już poza sobą naukę w szkole powszechnej i posiada prawo wykonywania pracy zarobkowej. Za górną granicę wieku przyjęto wiek poporowu młodzieży.

Informatorzy społeczni, których zadaniem było zbieranie danych ankietowych, docierali do młodzieży dwójką drogą: poprzez spisy absolwentów ocochekich szkół powszechnych i poprzez kartoteki t. zw. „rodzin podopiecznych”, tj. korzystających z pomocy instytucji społecznych. Grupa absolwentów reprezentuje lepszy poziom materialny i kulturalny, grupa druga — to najuboższe rodziny Ochoty. W ten sposób uzyskano dużą rozpiętosć warunków bytu, reprezentowanych przez 200 młodocianych przedstawicieli ludności ocochekiej, bardzo niejednorodnej klasowo, bo sięgającej od nielicznej inteligencji zawodowej i drobno-mieszczanstwa poprzez różne gatunki proletariatu aż do najskrajniejszych nędzarzy

bez ustalonego zawodu, trudniących się dorywczo przypadkowymi zajęciami, albo też wegetujących ze skąpych zasiłków instytucyj społecznych.

Przy pomocy kwestionariusza i pytań uzupełniających zebrano pokazny materiał ankietowy, opracowany następnie przez Annę Oderfeldówną.

Główna bolączka, uderzająca w charakterystyce środowiska, są fatalne warunki mieszkaniowe, nad czym jednak młodzież ochocka ubolewa znacznie mniej niż nad brakiem odzieży. „Porządne ubranie” jest w tej sferze przedmiotem najwięcej troski, jako zewnętrzny miernik stopy życiowej, ułatwienie znalezienia pracy i droga do podwyższenia w życiu towarzyskim.

Na stosunku młodzieży do nauki wyraźnie zacyliło położenie materialne. Nawet w grupie zamożniejszej, reprezentowanej przez absolwentów szkół powszechnych, konsekwentne kontynuowanie nauki w szkole średniej jest rzadkością ze względu na trudności pieniężne, nieumiejętnosć przystosowania się do nowych warunków pracy i „kompleks niższości”, rodzący się w zniechęceniu z zamożniejszymi kolegami, a niekiedy podsycający niewłaściwym stosunkiem dysrekcyj i wychowawców. Ta ściśła zależność między nauką a położeniem materialnym jeszcze jaskrawiej występuje w grupie uboższej. Nędzne warunki mieszkaniowe, brak odzieży i pomocy szkolnych, choroby, ignorancja rodziców, a wrzesnie konieczność wczesnego zarobkowania, sprawiają, że młodzieź ta w 12-ym, 13-ym, a najdalej 14-ym roku życia opuszcza szkołę, ukończywszy przeciętnie zaledwie 4 oddziały, nie mające czasami ochoty na późniejsze dokształcanie na kursach wieczorowych.

Nie lepiej przedstawia się dokształcanie w szkole dziennej zawodowej. Okazuje się, że chronicznie bezrobocie — pierwsza klęska, z którą styka się młodzieź przy wejściu w świat pracy — działa paralizująco na wszelką inicjatywę specjalizacyjną w jakimś określonym zawodzie. Częste zmiany pracy dorywczej, niewykształcenia i źle płatnej, nędza okresów bezrobocia, pietnųjų wszystkie poczynania młodocianych bezplanowością i tymczasowością. „Życie z dnia na dzień jest nakazem, podporządkowanie dalszych celów bliższym, codziennym potrzebom — koniecznością”. W rodzinach zamożniejszych te same zjawiska występują w nieco mniej dotkliwym stopniu. Przyswoicje ubrany syn pracującego ojca dzięki jego stosunkom łatwiej może znaleźć zatrudnienie, niż syn bezrobotnego. Nędza i bezrobocie z reguły niemal okazują się dziedzielną.

Rozdział, ilustrujący skalę potrzeb kulturalnych badanej młodzieży, przynosi fakty na ogół powszechnie znane: kino i sport jako najulubieńsze rozrywki, gazeta jedynie jako źródło informacji o wypadkach i kradzieżach, w zakresie czytelnictwa upodobanie do książek „lekkich”, nie wzbogacających umysłu, lecz wzmagających jedynie chaos poglądów i dążeń. Zestawienie ten rozdział z obrazem innych potrzeb życiowych badanej młodzieży, zauważyć można, że główne jej aspiracje kulturalne idą w kierunku posiadania lepszej odzieży i możliwości uczestniczenia do kina, podczas gdy potrzeby kulturalne, a zwłaszcza higieniczne, schodzą na dalszy plan.

Rozdział pt. *Poglądy i dążenia*, najciekawszy bodaj z całej pracy, ilustruje przez umiejętne zestawienie poszczególnych wypowiedzi chaotyczny „światopogląd” tej młodzieży, będący wypadkową niezadowolonej życiowo, ignorancji i wpływów zewnętrznych. Przejawia się on w wypowiedziach na temat pracy, bezrobocia, kryzysu, różnic klasowych, zagadnienia rządu, państwa, mniejszości narodowych itp.

Szczególnie uderzające są tu antynomie w poglądach, wynikające ze struktury gospodarczo-społecznej, której młodzieź nie rozumie, a której bolączki odczuwa bardzo silnie. Badani żywią uwielbienie dla techniki, a jednocześnie upatrują w niej przyczynę bezrobocia, potępiają bogactwo o zarzecz aspirują do niego, pracę uważają nie za obowiązek społeczny, lecz za elementarne prawo każdej jednostki, a jednocześnie żywią zaistniała niechęć do tych, którzy tę pracę posiadają.

Młodzież przedmieścia to książka niewątpliwie smutna, a zarazem bardzo interesująca. Różnorodność i żywotosć poruszonych zagadnień, sumienne, wnikliwie i głęboko opracowanych przez Annę Oderfeldówną, czyni z tej książki cenną lekturę nie tylko dla „specjalistów od spraw społecznych”, ale dla każdego poważnie myślącego i czującego laika.

HENRYKA ŁAZOWERTOWNA

SZUKA T. CIEŚLEWSKIEGO

PRZEGLĄD PRASY

Rysunki Tadeusza Cieślewskiego syna i jego drzeworyty stanowią jakby dwa różne światy. Drzeworyty tego artysty cechuje jakiś metafizyczny niepokój; stwarzają one atmosferę grozy, która następnie sprowadza myśli na drogi rozważań o rzeczach nadziemskich.

W tym kręgu doznań i wzruszeń powstają niemal wszystkie jego drzeworyty. Nawet w chwilach, gdy wchodzi z rzeczywistością w kontakt najbliższy, nie umie czy też nie chce pozbyć się owego nadziemskiego spojrzenia. Okno, najwyklesze okno paryskiej pracowni, w rytmie swych linii, w całym układzie i niesamowitym wykreju pretażetę być oknem, które otwiera widok na paryskie ulice, domy i świątynie, a staje się łącznikiem między codziennością, zamkniętą czterema ścianami, a życiem pełnym, szerokim, doskonalym.

W widokach Starego Miasta ten pierwotek nadrealistyczny — mimo na wskroś ludzkiego użecnia, jakim darzy artysta te mury, wśród których zbiegły najszczęśliwsze lata jego dzieciństwa i wczesnej młodości — staje się bardziej widoczny.

Najlichszy fragment zapomnianego domu



T. CIEŚLEWSKI OKNO

ku; jakiś szczyt, atyka, zlamany dach, warty kamieniem stopień, drewniane drzwi suito wybite gwoździami, zebrał gdycejący w mrocznej kruchcie kościoła — wszystko to stapia się w jedną wizję, która wyraża głębią prawdę życia, a umiłowaniem się ga aż po gwiazdami usiane niebó.

Przy takich drzeworytach rysunki Cieślewskiego wydają się igrazkami chwil wytchnienia i niefraobliwego nastroju. Autor sam nie przywiązuje do nich zbyt wielkiego znaczenia i nazywa je po prostu notatkami. Powstały też one jak notatki. Doslownie w powietrzu, czasami opierając o o pień drzewa, czy jakiś wystający mur. Dzięki temu zyskują one na bezpośredniości, nieskrępowanej niczym swobodzie, stają się wolne od wszelkich, często męczących nadbudówek, przemawiają do widza walorami wyłącznie plastycznymi.

Między czararni, aż ciężkimi od zagadnień drzeworytami, a tymi niekiedy lekko tylko kolorowanymi obrazkami — zdają się rwać wszelkie wzły. Rozbieżność jest jednak pozorna. Właśnie te rysunki zbliżają do drzeworytów. Rysunek — jak wiadomo — jest w grafice kwestią zasadniczą. Linia buduje najistotniejszy sens grafiki, lecz z powodu mozołnej i często skomplikowanej techniki nie stykamy się z nią okno w oko.



T. CIEŚLEWSKI MIASTO



T. CIEŚLEWSKI Z TORUNIA

ale objawia się nam ona w pewnym powtórzeniu, odradza się od nas czarna drukarska farba i trudnymi do wylimitowania przypadkowościami, rodzajnymi się pod prasa.

W rysunku tego wszystkiego nie ma. Tutaj linia przemawia całą swoją doskonalością, a wszelkich jej braków nie da się pokryć żadną blagą. I dlatego rysunki obdarzają nas radościami, których nam nie dostarcza drzeworyt, ukazując nie tyle nowe, co pełniejsze oblicze artysty.

Rysunek kszylografa także można traktować jako egzamin ze znajomości wartości linii, choć z drugiej strony jak bez dobrego rysunku nie można sobie wyobrazić o dobrego kszylografa, tak też niemożliwością jest poznanie wszystkich tajników drzeworytu bez poznania czystego rysunku.

Dlatego też chcąc mówić o drzeworytach Cieślewskiego, należy dobrze zdać sobie sprawę z wartości jego rysunków, bo dopiero wówczas możemy ogarnąć całą jego sztukę.

STANISŁAW CIECHOMSKI

WYSTAWA F. RUSZCZYKA

W listopadzie b. r. nastąpi otwarcie wystawy prac ś. p. Ferdynanda Ruszczyka, znakomitego artysty malarza, zmarłego w listopadzie ub. r. w Bohdanowie pod Wilnem.

Wystawę organizuje Komitet Warszawskiego użeczenia Ferdynanda Ruszczyka, powstały w kwietniu b. r. pod przewodnictwem Marszałka Senatu Aleksandra Prystora. Niezależnie od Komitetu Warszawskiego, istnieją analogiczne komitety w Wilnie i w Krakowie.

Wydział wykonawczy, na którego czele stoi rektor prof. Jastrzębowski, uzyskał zgodę Muzeum Narodowego w Krakowie, Muzeum Śląskiego w Katowicach oraz szeregu osób prywatnych na wypożyczenie znajdujących się w ich posiadaniu prac Ruszczyka na powyższą wystawę.

W Wilnie nastąpi otwarcie wystawy na cztery tygodnie przed jej uroczystym otwarciem w salach Towarzystwa Zachęty Sztuk Pięknych w Warszawie.

Prace Komitetu Warszawskiego odbywają się w 4 sekcjach: 1) wystawowej, na czele której stoi dyr. Lorentz, 2) teatralnej (dyr. Szyfman), 3) prasowo-propagandowej (dyr. Okulicz), 4) finansowej (nacz. Zawitowski).

Poszczególne więc sekcje projektują w rocznicę śmierci Ruszczyka, poza wspomnianą wyżej wystawę, wydanie tki z reprodukcjami barwnymi kilku najcenniejszych obrazów Ruszczyka, wraz z jego szkicem biograficznym, ponadto wystawienie *Ballady* Słowackiego w inscenizacji Ruszczyka w Teatrze Narodowym.

Warto bowiem przypomnieć, że *Balladyna* szana była po raz ostatni na deskach Teatru Polskiego w Warszawie przed 24 lata. Szkice do inscenizacji *Ballady* według Ruszczyka znajdują się w komplecie w tece dyrektora Szyfmana. Wystawienie *Ballady* stanie się na pewno wielkim wydarzeniem teatralnym również i z tego powodu, że w ciągu ostatnich kilkunastu lat trudno było o znalezienie odpowiednich sił aktorskich.

Z pozostałych projektów trzeba jeszcze wspomnieć o tablicy pamiątkowej, która zostanie wmurowana w domu, który mieścił pracownię artysty podczas jego pobytu w Warszawie, a znajdującym się na rogu Al. Ujazdowskich i ul. Chopina.

...Chcemy zachować całkowitą czystość kryteriów artystycznych i dlatego świadomie i celowo abstrahujemy od autora jako człowieka mającego takie czy inne poglądy — oceniamy tylko i wyłącznie twórczość. Gdy mamy zatem przed sobą dzieło literackie czy inno-artystyczne, obojętne dla nas jest drzewo genealogiczne, metryka i paszport ideologiczny jego autora. Nie jest nam to potrzebne ani do oceny artystycznej ani ideowej. Dla oceny ideowej wystarczy nam osobowość twórcy taka, jaką znajdujemy w jego dziele, taka jaką widzimy poprzez pryzmat tego dzieła.

Przytoczone zdania pochodzą z listu otwartego redaktorów poznańskiej *Kultury*, ks. Stanisława Brosa i Eugeniusza Januszkiewicza do Stanisława Piaseckiego (*Kultura* z dnia 13 b. m.). Ten list otwarty stanowi pierwszorzędny dokument chwili. Oto redaktorzy *Kultury* bronią się przed zarzutem niekonsekwencji ideowej z powodu — uczciwie oceny utworów literackich, oceny rzeczowej, nie oglądającej się na pochodzenie autorów ani na ich przynależność partyną. Ten niesłuchany „zarzut” postawił *Kulturę* warszawski, „bratni” organ *Prosto* z *mostu*. Rzecz obsłowiła i godna uwagi, jak pismo to, z pozoru wrogie *Wiadomościom Literackim*, jest im bliższe: mianowicie pod względem ogólnej atmosfery, obyczajów. Takie zarzuty, jak postawiono *Kulturę*, rodzić się mogą tylko w specyficznej atmosferze dzisiejszej intelektualnej Warszawy, gdzie zasadniczą bronią w walce ideowej jest — przemilczenie (*Totschweigen*), a jeśli trzeba się odezwać, robi się półgłębkiem, od niechcenia, atakując niefraobliwym felietonem, dowcipkiem, nie obowiązującym wierszykiem satyrycznym.

Redaktorzy *Kultury* piszą: „Pisarz, który nie potrafi poważnie traktować pracy innego pisarza, daje dowód, że nie odezwa wielkości pracy twórczej, a zatem sam siebie degraduje”. I jeszcze to: „Nam jednak nie chodzi o popularność, lecz o pomszenie sadzawk polskiego katolicyzmu”.

Właścicie należało by przytoczyć wszystko. A komentarze do tego niepotrzebne.

W jednym z ostatnich *nrów Polski zbrojnej w kulturę* dr Bogdan Suchodolski ogłosił ciekawe i znamienne rozważania o tradycji kulturalnej. Wyróżnił w dorobku przeszłości tradycję żywą, te która się ostaje jako czynnik naszych uczuć i działań, i tradycję martwą, o której się jedynie wie, mniej lub więcej dokładnie. Uprzytomnijmy sobie przy tej sposobności, jak się przedstawia nasz stosunek do literatury „klasycznej”, do „arcydzieł”, nieustannie mumifikowanych przez filologię i uroczystych egzegetów. Święćmy coraz to nowe rocznice: ostatnio Orzeszkowej, Prusa, niezadługo Ayszka; rosną zwaly przyczynków, rozpraw doktor-skich, materiałów biograficznych — jak niewiele zaś, jak nieproporcjonalnie mało pracujemy nad wytworzeniem w sobie właściwego stosunku do wartości, zawartych w zromadzonym dorobku kulturalnym.

Rzadkim przykładem takiej śmiałej pracy rewizjonistycznej jest studium Henryka Dembińskiego w *Nowej Kweadrzyde* (nr. 4-5, za maj i czerwiec b. r.) o „stylu rewolucyjnych mieszczan i współczesnym pseudoklasycyzmie”. Dembiński kreśli perypetye sztuki mieszczańskiej, przedstawia jej drogę od realizmu Holendrów do klasycyzmu rewolucyjnego Schillera i Davida (uderzając trafna, głęboka paralela) i demaskuje współczesny pseudoklasycyzm, *falszywy monumentalizm*, oparty na wewnętrznym samozakłamaniu i oszustwie. Dembiński wyznaje określoną filozofię kultury, związaną z również jednoczesną ideologią polityczną; wnioski jego, dość jednostronnie zilustrowane przykładami z dwóch państw totalnych (Niemiec i Wloch) dają się łatwo rozszerzyć na trzecie państwo totalne (ex: mauzoleum Lenina w Rosji Sowieckiej, Dnieprostroje, Magnitogorski i t. d.); tym niemniej tezy jego są słuszne i przekonujące.

Towarzystwo Polonistów R. P. wydaje dwa czasopisma: *Życie literackie* i *Polonistę*. O pierwszym, wydawanym od niedawna, pisałismy już w tym miejscu swego czasu. Obecnie ukazał się drugi numer *Życia*. Znajdujemy w nim dwa artykuły teoretyczne, rozprawę St. Zolkiewskiego, polemizującą z programem badań literackich R. Ingarde-na, oraz szkic L. Frydrego *O powołaniu krytyki literackiej*. Jest to artykuł o charakterze popularnym, rozwijający myśli z kręgu Brzozowskiego i jego ujęcia sztuki (sztuka,

czytamy we *Wspólczesnej krytyce literackiej*, jest to „uprzęstępienie inwmm swych własnych stanów wartościowych”). W dziele sprawozdawczym znajdujemy szereg recenzji z ostatnio wydanych tomów (Staff, Leśmian, Tuwim, Łobodowski, Miłosz, Świrszczyńska) utrzymanych na poprawnym poziomie krytycznym.

Drugie pismo wspomnianego stowarzyszenia, dwumiesięcznik *Polonista*, poświęcony jest zasadniczo sprawom dydaktycznym. I tu jednak znajdujemy nieraz pozycje ciekawe z literackiego punktu widzenia. Tak np. w ostatnich numerach ukazał się dłuższy artykuł dr-r Jana Kammera, omawiający żyw kwestię wprowadzenia literatury wspólczesnej do szkoły. Autor wymienia dzieła i pisarzy, którzy mogliby zainteresować młodzież: okazuje się, że jest ich wcale niemało. Czy jednak znajdzie się w szkole miejsce i czas na omawianie ich twórczości? Oto w tym samym, trzecim zeszycie *Polonisty* M. Pęcherski pisze o projekcie programu jezpolskiego dla liceów. Sądząc z artykułu, projekt ten przedstawia się groźnie. Nadmiar „zagadnień”, którymi obciążono młodzież, musi niechybnie doprowadzić do czegoś w rodzaju wariacji, a mnogość celów, które ma osiągnąć nauka języka polskiego, może przyczynić się do osiągnięcia celu niezamierzonego: wywołania zamętu w młocianych głowach. Ciągłe wie miszczenie „polski” odgrywa w gimnazjum rolę uniwersalną; kształci w użyciumu języka ojczystego, zapozna je z arcydziełami literatury, z historią kultury, wychowuje moralnie, obywatelsko i t. d. Czy nie było by z pożytkiem dla zrealizowania wszystkich tych, niewątpliwie ważnych zadań, przeprowadzić gruntowną parcelację, rozdzielić te rzeczy nie mające ze sobą nic wspólnego i postawić je obok siebie, każda na wyodrębnionym, właściwym miejscu?

BALTIC AND SCANDINAVIAN COUNTRIES

Styczeńniowy numer *Baltic Countries*, również imponujący jak i poprzednie, ukazał się pod powyższym rozszerzonym tytułem. Nierównowaga pisma udało się i do tego numeru pozyskać ciekawą szeregów wybitnych specjalistów z różnych dziedzin i różnych krajów. Większą część numeru zajmują artykuły poświęcone zagadnieniom ekonomicznym a także i geopolitycznym. Na czoło wysuwa się ciekawa rozprawka Jana A. Wildera o gospodarczym upadku Prus Wschodnich, uależnieniu ściśle od dobrych stosunków utrzymywanych z swoim polskim „hinterlandem”. Dalej idą proawitve zestawienia o handlu zbożowym Rygi w XVII w. Lotweza Dunsdorfsa, informacyjne studium Małowista o Bałtyku i Czarnym Morzu w dziejach handlu śródnioeuropejskiego oraz studium K. Górskiego o państwach zakonnych nad brzegami Bałtyku. Na uwagę zasługują dalej artykuły J. An-cela o politycznej geografii wschodniego Bałtyku, Rouceka o Polakach w Ameryce, Leitchebera o Dardanelach i Sundzie i niezwykłe ciekawy szkice Andrzeja M. Neman-na o wpływie, tak efektywnym, jak wykazała rzeczywistość, szwedzkiej teorii ekonomicznych na Anglie. Dziejom dyplomatycznych stosunków polsko-zagranicznych poświęcon jest artykuł B. Dembińskiego o Williamie Gardinerze, ostatnim brytyjskim ministrze na dworze Stanisława Augusta, oraz studium min. Bertonego o dyplomatach szwedzkich w Polsce w wieku XVIII.

Zagadnienie stosunku Przybyszewskiego do Skandynawii opracował St. Helzyński, dając w swoim artykule całkowity obraz stosunków zewnętrznych, łączących poetę z Północą.

Numer kończy jak zwykle bogaty dział recenzii, obejmujący dzieła z najrozmaitszych bałtyckich i skandynawskich dziedzin; oraz ciekawa, ale zbyt może w wyrazie niewnościągla, odpowiedź sławisty z Aarhus Stender — Petersena na Brüeknera krytykę jego ostatniej książki o „sadze Waremów jako źródle staroruskiej kroniki”. Na szczegól-ną uwagę zasługują bogata bibliografia periodyków tczających się historii, archeologii, filologii i ekonomii krajów bałtyckich i skandynawskich, otrzymanych przez Instytut Bałtycki, których by po większej części doremnie hlylo szukać po innych bibliotekach krajowych.

Redakcja: Warszawa, Chmielna 33, telefon 3.04.09; czynna codziennie (w dni powszednie) od godziny 17 do 19. Rękopisów nadesłanych nie zwraca się. Administracja: Warszawa, Chmielna 33, tel. 3.04.09; czynna codziennie od godziny 12 do 14. Prenumerata w kraju: mies. 1.80 zł., kwart. 5 zł., rocznie 18 zł., za granicą: mies. 2.50 zł., kwart. 7 zł. Ogłoszenia: za wiersz 1 mm. szerokości 1 szpalty — 60 gr. za tekstem; 80 gr. w teście. Konto P. K. O. Nr. 18.590.

ZA REDAKCJĘ: Józef Czechowicz

WYDAWCA: Wilam Horzyca